

Ankietowe uwagi naprędce

Józef Bachórz

JÓZEF BACHÓRZ

ANKIETOWE UWAGI NAPRĘDCE

Historia literatury XIX wieku, czyli ten odcinek dziejów, którym zajmuję się w pracy dydaktycznej i w którego poznawaniu uczestniczę jako czeladnik w warsztacie badawczym, cieszyła się w pierwszym stuleciu istnienia „Pamiętnika Literackiego” zarówno intensywnym zainteresowaniem środowisk naukowych, jak względami popularyzatorów, wydawców i czytelników. Romantyzm, uważany za epokę fundamentalnie ważną dla formowania się nowoczesnego myślenia polskiego, patronował wielokrotnie, aż po rok przełomu polityczno-ustrojowego (1989), dążeniom do wolności. Był też w naszej świadomości wyróżniany jako symboliczny skarbiec przesłań, wzniosłych wzorów i sakralnych mitów polskości oraz jako rezerwuwar cytatów. Stawał się i w badaniach, i w życiu czymś na kształt świątynnej skrzyni, w której „lud składa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty”. Pozytywizmu – drugiej części składowej „mojego” wieku XIX – nigdy nie otaczała podobna aura czci, a na dodatek w fazie narodzin „Pamiętnika Literackiego” był epoką jeszcze nie domkniętą, choć już (jak i romantyzm) zakończoną – żyli przecież wtedy i tworzyli Prus, Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz oraz liczni autorzy *minorum gentium* – ale był to czas, który choćby z uwagi na wspólnotę tła dziejowego i zazębianie się chronologiczne stałe zestawiano z romantyzmem.

Nie sądzę, by w ciągu XX wieku w refleksji badawczej przeinaczyło się czy gruntownie zmieniło postrzeganie epok – nadal „romantyzm” i „pozytywizm” pozostają terminami najniezbędniejszymi przy opisie XIX-wiecznego procesu literackiego – jednakże w ostatnich dziesięcioleciach (zwłaszcza po 1970 roku) odbywała się ewolucyjna przemiana zapatrywań na kilka istotnych spraw i zelżała ostrość przeciwstawień sąsiadujących ze sobą prądów. Wiek XIX coraz częściej jawi się jako całość, w której obu połowach stawały przed literaturą podobne zadania i pytania, a choć odpowiedzi formułowano często inne, to przecież obracano się w obrębie tego samego repertuaru problemów. Jeśli w pierwszej połowie XX wieku i na początku połowy drugiej przeważało definiowanie XIX-wiecznych epok *per oppositionem* w stosunku do epok sąsiednich, czyli przez uwypuklanie przeciwieństw, antagonizmów i walki, to potem widać tendencję do ukazywania nie tylko agonu, lecz i dziedziczenia. W pracach o postaniśławowskiej fazie oświecenia „przytulany” bywa do romantyzmu nie tylko już preromantyczny sentymentalizm, ale niekiedy i późny klasycyzm. W literaturze czasów romantyzmu zauważa się zjawiska nie tylko romantyczne, ale także biedermeier i wczesny

realizm. Z kolei pozytywizmowi, dość zgodnie – choć zgoda to nie całkiem jedno-myślna – obwinianemu w pierwszej połowie XX wieku, że takie widzi świata koło, jakie mu tępymi oczu zakreślił Franciszek Krupiński, w drugiej wieku połowie częściej przydawano rysów wrażliwości na problematykę charakterystyczną dla romantyzmu, a więc problematykę psychologiczną, niepokoje egzystencjalne i nostalgia religijne.

Oslabienie wizji zdecydowanych przeciwieństw (albo–albo: albo romantyzm, albo pozytywizm) na rzecz obrazu podobnych problemów, nadto dostrzeganie pozytywistycznych dylematów, wahań, niepewności, aporii – pewno można wiązać z tendencjami poststrukturalistycznymi w badaniach literackich i z postmodernizmem w kulturze, ale wolałbym też w tym widzieć bliską mojemu myśleniu rezygnację z doktrynerskiej nieustępliwości oraz z wygody dydaktycznej. Badacze i dydaktycy nowszych czasów chyba lepiej opisują rzeczywistość literacką, opatrując dotychczasowe jednoznaczne „tak” dodatkiem „ale...”. Może to komplikować życie studentom i uczniom, lecz prawdziwiej przedstawia obraz literatury romantyzmu, która przecież coś przekazywała literaturze pozytywistycznej, i wizerunek pozytywizmu, który z romantyzmu coś przejmował, a nie tylko mu się przeciwstawiał. Taka korektura optyki nie uchyla tego, czego od lat nauczały nas podręczniki (np. że na pograniczu z romantyzmem odbyła się walka pozytywistycznej „młodej prasy” ze „starą”), ale umożliwia spostrzeżenie, iż spory o Mickiewicza lub Słowackiego w latach 1870–1895 nie przebiegały ostrzej i bardziej zasadniczo niż np. w latach 1840–1860. W każdym razie z perspektywy współ-redaktora *Słownika literatury polskiej XIX wieku* nie mógłbym twierdzić, że autorkę *Nad Niemnem* od twórcy *Pana Tadeusza* oddzielała przepaść. A czyż Kraszewski z okresu międzypowstaniowego, chwalony przez niejednego romantyka, i Kraszewski piszący w latach 1865–1887 ku krzepieniu programów pozytywistów – to dwaj Kraszewscy w ogóle nie przystający do siebie?

Literatura polska wieku XIX miała przez całe XX stulecie szczęście do badaczy wybitnych i dokonań znaczących. Plejada tych badaczy to kilkadziesiąt nazwisk, bez których nie da się pisać historii humanistyki polskiej. To również galeria niezwykłych osobowości, poczynając od pierwszych współpracowników „Pamiętnika Literackiego” – byli zaś między nimi przecież Piotr Chmielowski, Stanisław Tarnowski, Ignacy Chrzanowski, niewiele później doszedł Juliusz Kleiner, potem Waław Borowy, Stanisław Pigoń, Julian Krzyżanowski i Zygmunt Szweykowski – a kończąc na tych, u których przed laty z górą trzydziestu miałem szczęście terminować zdobywając stopnie naukowe. Ich dokonania badawcze, dopełniane następnie przez rosnącą z latami liczbę ich czeladników i terminatorów, układają się w imponującą bibliotekę. Dziś obejmuje ona książki o wszystkich najważniejszych pisarzach XIX wieku i monografie szeregu problemów literackich oraz syntezy obu okresów. Dzięki wielkiej rozmiarom księżnicy prac o romantyzmie, które napisano i opublikowano w Polsce po roku 1956, wiemy o tej epoce o wiele więcej, niż wiedzano przedtem. Są tu denerwujące luki (zaliczam do nich niedokończenie serii romantycznej „Obrazu Literatury Polskiej”), ale nie mogą mi one przesłaniać tego, co zostało zrobione. Pod koniec wieku XX sypnęło pytaniami, czy aby nie następują takie przewartościowania, które pomniejszą znaczenie romantyzmu: oto krzepiąca w trudnych czasach literatura traci na znaczeniu, gdy wolność stała się naszym udziałem. Nie przyłączam się do tych strapień.

Podczas dzisiejszych „pojedyneków o romantyzm” padają słuszne odpowiedzi: romantyzm się obroni i ostanie, bo nie sam temat historii i ojczyzny, lecz dużo szersza problematyka człowieczeństwa stanowi jego siłę, a poza dyskusją znajduje się kunszt słowa najwybitniejszych poetów romantycznych.

Także badania nad realizmem i naturalizmem przynosiły plon niezwykle ważny. To prawda, że miały one nie tak liczną „obsadę osobową” jak romantyzm, bo i zaistniały później, i narzędzia do badań prozy realistycznej usprawniono dopiero w drugiej połowie XX wieku, i koniunktury historyczne bardziej sprzyjały romantyzmowi niż pozytywizmowi, ale jest faktem, że dziś na temat pozytywizmu przynajmniej to, co najbardziej potrzebne do nauczania uniwersyteckiego i licealnego – istnieje.

Godzi się przy tym pamiętać, że przecież XX-wieczna droga literaturoznawstwa nie była u nas trasą bezkolizyjnego wojażu, że znaczyły ją tragedie wojenne, że nie brakowało sezonów represji i ograniczeń politycznych. W latach nasilania się urzędowych dyktatów ideologicznych (1948/49–1955, potem rok 1968) obejmowano „zapisami” cenzury niepokornych badaczy i „niepożądane” tematy. Po każdym jednak czasie marnym literaturoznawstwo nasze regenerowało się z nadzwyczajną żywotnością. Przybywało zapalonych badaczy, przybywało wyższych uczelni z instytutami i katedrami polonistycznymi, przybywało placówek pozauczelnianych – wśród nich nie sposób nie docenić inspiratorskiej roli Instytutu Badań Literackich – przybywało szans wydawniczych.

Widomie na kształt badań historycznoliterackich nad wiekiem XIX wpływał rozwój teorii literatury. Nie zatrzymam się tu przy jej dokonaniach, powiem jedynie, że do najbardziej charakterystycznych cech naszego rzemiosła w XX wieku zaliczam nasiąkanie analiz literackich wszystkim, co oferuje teoria. Dzięki temu historia literatury pozbywała się uproszczeń i naiwności, a zyskiwała na precyzji i na szerokości horyzontu. Poetyka stała się jednym z niezbędnych składników wykształcenia historyka literatury. Nie można w naszych czasach uprawiać historii literatury bez wiedzy o genologii, stylistyce, wersologii i bez teorii prądu literackiego, a tego typu pomysły teoretyczne (związane zresztą z różnymi szkołami badawczymi), jak np. socjologia form literackich, krytyka tematyczna, estetyka odbioru czy krytyka feministyczna, dopomagają historykowi literatury postrzegać coraz bogatszą paletę badanych zjawisk. Prawda, że wyścig teoretyków czasem irytował mnie ich pośpiesznymi ofertami, które nie zakorzeniały się w badaniach, a bywało i tak, że plonowały pretensjonalnym żargonem neofitów, ale w sumie rozwój teorii dobrze służył historii literatury.

Niepokoje mnie natomiast dzisiejszy stan edytorstwa. Wydania twórczości autorów XIX-wiecznych, imponujące w latach tużpowojennych, przykurczyły się w ostatnich dziesięcioleciach XX wieku. Publikacje świadectw życia, a zarazem dokonań literackich – tradycyjnie ważna dziedzina „zagospodarowywania” wieku XIX – ukazało nam przed laty np. Archiwum Filomatów. W drugiej połowie XX wieku wyszły zbiory listów (spore resztki korespondencji Krasińskiego, epistolaria Żmichowskiej, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Prusa, Konopnickiej) i liczne pamiętniki. Teraz ruch tutaj mniejszy. Na tle naszej wiedzy o zasobach krajowych i zwłaszcza francuskich (polskie archiwalia paryskie, jakkolwiek nadal warte przeszukiwania, należą chyba do najbardziej spenetrowanych) niedostatecznie wykorzystywana jest szansa, jaką stwarza otwarcie się dla nas archiwów rosyjskich,

ukraińskich, białoruskich, litewskich, kazachskich i w ogólności wschodnich. Praca w tych archiwach nie łączy warunkami materialnymi, a roboty dokumentacyjne, bibliograficzne i materiałowe, które by tu należało wykonać, wymagają erudycji, cierpliwości, skrupulatności czy nawet pedanterii, o którą łatwiej na starość niż w młodości. Ale o znikomej atrakcyjności tych zajęć dla młodszych wiekiem pracowników naukowych decyduje fakt, że nie kojarzą się one ze zdobywaniem stopni naukowych. Doktoraty i habilitacje dostaje się za rozprawy i za rzeczy interpretatorskie. Właśnie to może bardziej niż wymóg cnót benedyktyńskich przesądzać o niedostatku adeptów przy dokumentacjach i przy edycjach materiałów.

Co jakiś czas w drugiej połowie wieku XX ponawiano pytania o potrzebę i sens uprawiania historii literatury, czyli kwestię: „jak jest możliwa historia literatury?” i czy w ogóle jeszcze powinna ona istnieć. Nie miejsce tu na rozważanie przyczyn stawiania takich pytań, stwierdzą jedynie, że aczkolwiek przyhamowały one impet historii literatury, to zasadniczo jej nie zaszkodziły. Nie obyło się bez pewnych redukcji, które jednak owocowały na sąsiednich polach. Z krytyki np. biografizmu w obrębie historii literatury wynikły kalendarze życia i twórczości oraz monografie spod znaku „ludzie żywi”, niekiedy stanowiące azyl dla badaczy hołdujących tradycyjnym metodom i nie zapraszanych do serii o aspiracjach interpretatorskich – ale chętnie czytanych. Jeszcze innym pokłosiem pytań o historię są słowniki oraz encyklopedie literackie. Nie obawiam się zresztą, by na stanie dyscypliny odbiły się pytania o to, w jaki sposób uprawiać historię literatury i pisać syntezę czy podręczniki. Obawiam się natomiast tendencji likwidatorskich wobec historii literatury w szkolnictwie średnim. Nie jestem zwolennikiem obecnego entuzjazmu antyhistorycznego w programach licealnych. Absolwenci szkół średnich, którzy nie potrafili chronologicznie uporządkować nazwisk: Sofokles, Dante, Szekspir, Wolter, Balzak i Dostojewski, albo tacy, którzy nie wiedzieli, czy wcześniej żył Krasicki, czy Kraszewski, zdarzali się w różnych czasach. Ale powodów do rezygnacji z historii – nawet gdyby uznać, że rację mają ci, co w jej uprawianiu widzą tworzenie konstruktów raczej uładzającego wykład niż opisującego rzeczywistość literacką, i nawet gdyby losem nieuchronnym historyka literatury było wnikanie się w nierozwiązywalne dylematy – nie umiałbym zaakceptować. Nie wierzę, iż jest możliwa wielka synteza historycznoliteracka integrująca różnorakie wymagania albo i marzenia, lecz – podobnie jak w innych sytuacjach, w których marzenia się nie spełniają – dzień rezygnacji z dążenia i wysiłku uważałbym za klęskę dużo większą niż niezadowolający wynik owego wysiłku. Zawsze też wywoływały moją obawę te tendencje w krytyce literackiej, które wiązały się z lekceważeniem kontekstu historycznego przy interpretacji dzieł o treściach ponadczasowych i z rozgrzeszaniem się z bez troski o to, „co autor chciał powiedzieć”. Niepokoi mnie rezygnacja z dociekania w utworze znaczeń z „macierzystego” czasu autora, czyli przygłuchanie na głosy z historycznej oddali. Od lat jesteśmy przekonani – jak najślusniej – że mamy obowiązek wrażliwości na każdą *la pensée sauvage*, bo „dzicy” i wszelacy Inni „synchroniczni” Bliźni mają prawo, by wysłuchać ich intencji. Mieliby zostać pozbawieni owego prawa nasi przodkowie tylko dlatego, że nie żyją? Historia literatury jest przecież nauką słuchania tych, co odeszli, a Europa – cywilizacja europejska – powstała z pamiętania historii.